

ŚWIADECTWO PRAWDZIWE I FAŁSZYWE

1. *Gdzie zaczyna się świadectwo?*

1. Dać świadectwo oznacza jakościowo coś zdecydowanie inne niż podać zwyczajną uwagę, uczynić jakieś spostrzeżenie; świadectwo zakłada bowiem te wszystkie czynności psychiczne, które są nieodzowne do utworzenia sobie sądu, wysuwając przy tym na czoło istotne składniki osobistego zaangażowania. Różnica dotyczy zatem bardziej metafizycznego poziomu aniżeli samego tylko odniesienia tych pojęć (świadectwo, spostrzeżenie, uwaga) do płaszczyzny psychologicznej, na której mogą się one z powodzeniem zespalać ze sobą.

Sąd obejmuje rzecz ocenianą (osądzaną), względnie jakieś odniesienie w jego ukierunkowaniu na osobę tworzącą tenże sąd i tam znajduje ostatecznie także swój cel. Kiedy jednak daje się świadectwo, to odniesienie do kogoś innego ma raczej drugoplanowe znaczenie. Wyraża się swój „sąd o” kimś (czymś), daje się natomiast „świadectwo komuś”. Pojawia się przeto podwójne odniesienie, w którym sąd zostaje w jakimś stopniu podzielony i na skutek tego właśnie podzielenia osądzający (sędzia) staje się świadkiem.

Sąd podlega rewizji, w każdym zaś razie może być bez większego trudu zmieniony. Ze świadectwem wiąże się natomiast swego rodzaju ostateczność: oznacza ono bowiem nie tylko trwanie w przemijającym wciąż czasie, ale także związanie się z czasem. Raz złożone, świadectwo trudne jest do zmienienia, zakłada bowiem zawsze i niejako z reguły, że nie istnieją w nim samym żadne szanse na rewizję.

Jeżeli wychodzi się z tego, że tworzenie się sądu dokonuje się wtedy, gdy się kończy zwykle tylko domniemanie, to trzeba dodać, że świadectwo tam się zaczyna, gdzie wyczerpuje się osądzanie, i że właśnie to „przejście” może wpłynąć na sąd aż do jego najgłębszej istoty.

2. Dlatego nie da się określić istoty świadectwa na podstawie sposobu jego powstawania. Językowa forma, jaką one przyjmuje, nie ma tutaj żadnego znaczenia, albowiem na jedno wychodzi, czy towarzyszy mu przysięga, mająca jeszcze bardziej uwypuklić jego sakralną naturę („Przysięgam, że...”, „Bóg jest moim Świadkiem, że...”, „Zobowiązuję się stanowczo do mówienia prawdy i tylko

prawdy”), czy też nie. Tym, co faktycznie się liczy, jest cel, czyli zamiar, albowiem to on nadaje mu wagę. W skrajnym przypadku można by pozbawić dawane świadectwo jakiegokolwiek sformułowania słownego, zastępując je niemym gestem lub milczącym tylko przyznaniem.

Jeżeli jednak gesty, a także życie i śmierć, można uważać za formy świadectwa, to trzeba zaraz dodać, iż świadectwo jako takie przerasta wszystkie te formy, albowiem kieruje się w stronę wieczności. Nie rezygnuje z wszelkiego sposobu wyrazu, chociaż forma, jaką wybiera, jest ostatecznie trampoliną służącą do odbicia się „w wieczność”, w jej prawdziwy wymiar, który dopiero sprawia, że mamy faktyczne świadectwo. Albowiem to wkroczenie w wieczność dopiero umożliwia wyjaśnienie daru życia, skoro śmierć stanowi ostatni środek, bądź też jedyną możliwość, dania świadectwa. W atmosferze podejrzeń, jaka go otacza, nie pozostaje człowiekowi, który daje świadectwo, żadne inne wyjście poza całkowitym wydaniem samego siebie, czyli tym ostatecznym włączeniem się w świadectwo; wkracza on tym samym w najbardziej wewnętrzne jądro składanego przez siebie świadectwa.

3. Oznacza to jednak zarazem, że świadectwo, pomimo swej tak bardzo osobowej natury, jest także gestem społecznym, działaniem wspólnotowym. Skoro bowiem świadek czuje się zobowiązany poszerzyć swój udział o osobisty wkład i odpowiedzialność, to czyni to niewątpliwie w tym celu, aby wypełnić tę lukę, jaka istnieje pomiędzy nim samym a poświadczaną przez niego sprawą. Ale czyni to również po to, by zmniejszyć przedział pomiędzy sobą samym a ewentualnym odbiorcą swojego przekazu.

Nad tą podwójną luką wznosi się jakby łuk — bądź też pomost — świadectwa, a układ pomiędzy człowiekiem i rzeczywistością zostaje wzmocniony przez odwołanie się do umowy społecznej. Świadectwo realizuje się przeto zarówno w wymiarze osobistym, jak i społecznym, uzyskując dzięki temu jeszcze większą siłę.

Istnienie, względnie obecność, społeczeństwa nie stanowi wszakże nieodzownego warunku, aby wypełnić ten wymóg. Pod nieobecność społeczeństwa dla człowieka wierzącego Bóg, a dla innych ludzi prawda lub człowieczeństwo (ludzkość), sprawiają, że złożone świadectwo staje się wrzuconą w morze butelką zawierającą w sobie przesyłkę pocztową, oczekującą wciąż i zawsze na dialog z kimś innym.

Wobec beznadziei tych wszystkich, do których się zwraca, trudno jest uwierzyć, że mimo wszystko świadectwo to zostało złożone. Kiedy świadczący bierze na świadka swoje sumienie, czyni to w tym celu, aby rozsądzić swoją samotność. Nie ma też, bez wąt-

pienia, czegoś piękniejszego od brania na świadka samej tylko godności ludzkiej — albowiem to głębokie powiązanie, jakie zespała ludzi wewnętrznie ze sobą, gwarantuje faktycznie czystość każdego świadectwa; ale także w tym skrajnym przypadku staje się jasne to, iż świadectwo tylko tam zostaje złożone, gdzie dominuje samotność.

4. Pojawia się zatem pytanie, czy przybierające wciąż na sile środki łączności (i komunikowania się ludzi między sobą) nie powodują zawężenia świadectwa? Bezpośrednie powiązanie, jakie tak wyraźnie się pojawia pomiędzy najdalszym nawet wydarzeniem a potencjalną masą jego widzów lub odbiorców, zdaje się pomniejszać rolę osobistego zaangażowania się w jego potwierdzenie. Fakty mówią same za siebie i konieczność świadectwa staje się niemal zupełnie zbędna.

Jednak już sam dobór faktów do bezpośredniego ich przekazania, ocena ich wagi i znaczenia dla społecznej terażniejszości zakładają czynności, które dla odtwarzającego starannie przeszłość historyka nie są bynajmniej jednakowo istotne. Nie brakuje w nich bowiem czysto osobistego zaangażowania. Kiedy składa się świadectwo, wówczas nie chodzi o zwyczajne fakty z natury, przy przedstawianiu których nauka tak bardzo się stara o anonimowy punkt patrzenia dowolnie wybieranego i wymienialnego obserwatora, ale o takie wydarzenia, które mają coś wspólnego z człowiekiem, a dokładniej o te, które poruszają ludzkie sumienie.

Następstwem tego jest fakt, że środki masowego przekazu zawężają wielkie na ogół bogactwo świadectw, przywracając im zarazem właściwą ich naturę. Można dać świadectwo wyłącznie temu, co jest nienamacalne, niedotykalne, czego nie da się zweryfikować żadną obiektywną wiedzą. Uwypukla się tym samym duchowa natura świadectwa: *Jest ono relacją międzyosobową, która wpływa na osobowy byt lub działanie, a której niesprawdzalne obiektywnie komponenty trzeba odkryć na nowo i zrównoważyć poprzez subiektywny wkład świadka*¹. Dochodząc do ostatniej granicy, kiedy to rzeczywistość niesprawdzalna zmierza już w nieskończoność, również ten wkład musi się stać nieskończony. Doskonałe zrównanie elementu obiektywnego z subiektywnym możliwe jest do urzeczywistnienia tylko na płaszczyźnie wiary reli-

¹ Obiektywny — subiektywny: Wiadomo bowiem, że żadna wiedza nie może być bezwzględnie obiektywna. Niezależnie jednak od tego, świadek nie jest nigdy człowiekiem bardziej obiektywnym niż w momencie, kiedy angażuje sam siebie, swoją subiektywność, o ile wymaga tego natura rzeczy. Nie chodzi już wtedy o sam tylko dobór słów.

gijnej: albowiem niewyraźalny obiektywnie Bóg wymaga do wyrównania tego poziomu całkowitego wyrażenia ludzkiej subiektywności. W tym także znaczeniu można by słusznie powiedzieć wraz z S. Kierkegaardem, że indywiduum istnieje wyłącznie z Boga i przed Bogiem.

Najwyraźniejszym dowodem na depersonalizację wszechświata byłoby rozciągnięcie środków informacji aż do tego stopnia, że nie pozostawiono by już żadnego miejsca na ludzkie świadectwo. Czy ewolucja doprowadzi nas faktycznie aż do takiej fazy urzeczowienia? Świat, który rezygnuje z angażowania się i troski o przetrwanie, staje się niewątpliwie światem schyłku i upadku, od których człowiek zaczerpnąłby także swoje zasadnicze nastawienie.

2. Istota i podstawy świadectwa

1. W tym punkcie zapoznamy się z metafizyczną naturą świadectwa, która się wyłania w swej najgłębszej istocie ze świata ludzkiego.

Jest ono jakimś „więcej” (byciem-więcej) ze strony świadka, polegającym na tym, że ten wyłaniającą się z niego samego nadwyżkę podaje jako miarodajny substytut i gwarancję rzeczywistości nie dającej się zobiektywizować. Jedynie uzdolniony do tego „więcej” adresat jest w stanie to zauważyć i właściwie ocenić. Istnieją zresztą także nie docenieni należycie męczennicy. Tylko ten bowiem, którego spojrzenie przywykło do tego, co nieweryfikowalne², jest w stanie w złożonym świadectwie dostrzec substytut rzeczywistości.

To duchowe postępowanie zakłada, że między świadczącym a ewentualnym odbiorcą jego świadectwa zachodzi pewna dialektyka, której nie musimy tutaj szczegółowo omawiać, a której udaje się przeciw zachować dane świadectwo w jego własnym *universum*. *Universum* to nie jest światem tego, co „już dokonane”, ale światem świadomości, w którym unosi się dana rzeczywistość, która dopiero wtedy zostanie spełniona, kiedy człowiek postanowi faktycznie ją wypełnić, i która może istnieć tylko dlatego, że to on ją pobudza do istnienia. Skąd jednak pochodzi to zadanie człowieka i ta jego siła, aby je wypełnić? Dokładnie znaczy to tyle, co postawienie pytania o same podstawy. Albowiem tylko dialektyka czasu i wieczności mogłaby dać odpowiedź na tak postawione pytanie.

² Należałoby niewątpliwie wprowadzić odróżnienie między tym, co jest nieweryfikowalne z samej swej natury, a tym, co zupełnie przypadkowo nie nadaje się do zweryfikowania.

Czas wywodzi całą swoją istotę z wieczności, ale dopiero wtedy, gdy w ewolucji pojawia się myśląca i zastanawiająca się świadomość, wieczność bowiem domaga się refleksji i uznania siebie jako rzeczywistości ukierunkowanej tylko i wyłącznie na siebie. Świadomość z kolei jest tym uprzywilejowanym miejscem, w którym wieczność odbija się od siebie samej, aby uderzyć w ludzi, którzy stali się świadkami. I dlatego *universum* świadomości jest równocześnie *universum* świadectwa.

Czy można tak naprawdę powiedzieć, że wieczność, to tryskające źródło przemijalności, dominuje absolutnie nad czasem? Aż do pojawienia się człowieka ewolucja była jedynie odbiciem, ale nie zwierciadłem. Możliwość wieczności objawiła się dopiero wraz z pojawieniem się człowieka. Czy w tym właśnie punkcie uchwycone to „mniejsze” dałoby się w końcu rozpoznać jako pełnia „większego”? Z pewnością nie. Wieczność staje się bowiem rzeczywiście możliwa dopiero z chwilą pojawienia się świadomości, która aktem wyswobodzenia konstytuuje się jako twórca tego „więcej”. W tym ujęciu świadomość staje się zwiastunem i świadkiem tego, odnośnie do czego nikt nie był w stanie dać żadnego świadectwa. Stąd miarodajne jest stwierdzenie (już to widzieliśmy): Im bardziej nieskończony jest przedmiot świadectwa, tym bardziej świadczący powinien się sam jawić jako nieskończony. Wszelkie zaangażowanie nas kosztuje, wymagając od nas przeświadczenia. *Umotywowane koniecznością transcendencji świadectwo narodzi się dopiero w trakcie ruchu transcendującego.*

2. Widzieliśmy już: Człowiek, który wyrasta ponad siebie, stara się dać świadectwo. Tak oto prorocy czuli się powołani do bycia świadkami. Jednak prawdziwym Świadkiem jest jedynie Chrystus. Albowiem to On został nam dany nieskończenie w nieskończonej łasce, to w Nim zespala się jak najściślej immanencja z transcendencją. Dawca i Dar się zrównują, dający staje się darem, i na odwrót. To On jest poręczycielem wieczności: to On jej odpowiada, odpowiada za nią. Jego odpowiedzialność jest taka, jak to, o czym świadczy nieskończenie.

Tak więc istnieje Słowo, w którym odzwierciedla się wieczność — doskonale i autentycznie, całkowicie nienaruszona. Darem Chrystusa dla nas, jakim ubogaca On nas podczas całego swojego życia, jest doskonała aktualizacja wieczności. Wieczność potwierdza się przez Niego, natomiast On wnosi, niejako w ruchu odwrotnym, swój wkład, który jest absolutny. Stąd też wypływa Jego funkcja objawicielska.

Skoro jednak Słowo staje się solidarne z przemijalnością,

z czasem, kiedy staje się Ciałem i podlega prawu jego słabości, to Jego świadectwo skazane jest na rozbicie. To, co było bezwarunkowe, staje się teraz warunkowe, uwarunkowane. Krzyż wznosi się nie tylko w punkcie przecięcia między Chrystusem i człowiekiem — co nas prowadzi ponownie do dialektyki świadectwa i potwierdzenia — ale także, i to przede wszystkim, w punkcie przecięcia czasu i wieczności, których dialektyka w nim się zakotwicza i w ramach której On umiera. W Nim wznosi się Golgota i spadają mętne cienie sprzeczności na ziemię. Skoro zaś każda cząstka przemijalności, która w Nim nie odróżnia się bynajmniej od historii, przeciwstawia się objawieniu wieczności, to może On zatriumfować nad nocą ludzkości dopiero przez swoje zmartwychwstanie³. Jest więc ono objawieniem Kogoś absolutnie bezwarunkowego.

A ponieważ jest On potężniejszy od czasu, potwierdza się ostatecznie Jego świadectwo. Tym zaś, dla których zostało ono przeznaczone, pozostaje tylko to jedno zadanie, aby się okazać godnymi tego zaszczytu. Dopiero wtedy będą też mogli nadal je kontynuować. Albowiem tylko ten, kto wierzy w Zmartwychwstanie, jest w stanie budować drogę prawdziwemu świadectwu poprzez dzieje.

3. *Ontologia fałszywego świadectwa*

1. Ponieważ Chrystus jest Świadkiem absolutnym, jest On także *par excellence* tym Miejscem, w którym się wydarza coś niekontrolowanego. Można w Nim przeto odkryć także ontologiczną postawę, na której wyrasta świadectwo fałszywe. Wyjaśnia się tym samym metafizyczna natura Antychrysta. To on fałszywie podaje, że Chrystusa udało się pokawałkować.

A mimo to: chociaż wyrasta z tak szlachetnego podłoża, świadectwo fałszywe ma zgoła inną naturę od prawdziwego. Usytuowane obok nie-bytu, zajmuje ono pozycję, którą chciałoby traktować jako analogiczną do stanowiska świadectwa, które się sytuje tuż obok bytu. Jednak analogia ta nie jest właściwa; jest to wyłącznie wola analogii, która pozostaje wciąż niedoskonała, albowiem ta właśnie wola jest także tworem wieczności.

W *uniwersum* tego, co jest niesprawdzalne, fałszywy świadek dąży do wypaczenia wieczności. A ponieważ nie jest w stanie mówić w imieniu wieczności, czuje się zmuszony posłużyć się

³ Prawdopodobnie dopiero to rozbicie czasu, które umożliwia wieczność, jest w stanie ukazać pełnię Jego bytu.

wszelkimi listami przemijalności — cudownością, fałszywymi cudami, ułudą świętości, błędem, bezradnością — aby ukazać świat fantastyczny, sztuczny i zafałszowany, i tej zwodniczej rzeczywistości nadać pozór egzystencji. Antychryst jest wielkim artystą — podpalaczem w królestwie absurdu.

Fałszywym świadkiem nie jest Judasz, który wydaje Chrystusa za srebrniki, ale potem odchodzi i się wiesza. Fałszywym świadkiem jest ten, kto oczernia Chrystusa i chce nosić w swej duszy sprzeczność, to, co jest nie do pogodzenia, pretendent do tronu, który jest w stanie zniszczyć Bożą świątynię, albowiem czuje się zmuszony mówić równocześnie „tak” i „nie”. A jeżeli nawet wobec prawdziwego Świadka — Chrystusa jest on zupełnie bezsilny — widzieliśmy już bowiem, że jego pozycja nie jest bynajmniej symetryczna — to wystarcza mu przecież na tyle mocy, aby wznosić w sumieniach ludzi mur odmowy, który otoczy jednak w końcu fosa wód wieczności.

Kiedy buduje ten mur błędu pomiędzy czasem a wiecznością, fałszywy świadek stara się uczynić wieczność kłamcą — przez korupcję czasu. A ponieważ nie jest w stanie zatruć samego źródła, fałszuje jego odbicie. Wynajduje jakieś własne przeciw-objawienie. I na tej właśnie podstawie ktoś mógł powiedzieć, że „fałszywi świadkowie doprowadzają Boga do kłamstwa”.

Fałszywy świadek nie jest twórcą owego „bycia-więcej”, którego każdy świadek potrzebuje jako przeciwwagi do określonej miary tego, co nieweryfikowalne. Wprost przeciwnie, rozciąga on czas nie-bytem, wydobywając całą jego gęstość z własnego tylko wkładu. Zdaje się całkowicie na nicość bytu⁴. Sam akt spojrzenia powinien by już wystarczyć do tego, aby zburzyć ten jego świat pozorów, jednak siła jego wpływu zbudowała już królestwo ciemności. Powinno więc wystarczyć posłużenie się stwórczą siłą jako kryterium oceny jego działania, ale czy osąd będzie faktycznie możliwy, skoro wprowadzone już w błąd sumienie zgadza się wewnętrznie na taki stan rzeczy?

2. O ile świadek uczciwy wyrasta ze Słowa zmartwychwstałego, to świadek fałszywy uczestniczy w mordowaniu Boga. Na tej właśnie podstawie zaczynamy się nagle obawiać naszej współodpowiedzialności za świadectwo fałszywe. Czy nie jesteśmy także w jakimś stopniu tymi fałszywymi świadkami?

Istnieją sumienia zagłuszone, które zadowolają się po prostu

⁴ Na podstawie fałszywego świadectwa jawi się mocno nicość bytu, która mogłaby być punktem przerwania i wtargnięcia, ale także miejscem tęsknoty i nawrócenia.

tym, że żyją⁵. Orędzie, które trzeba dalej przekazywać, wcale ich nie obchodzi, świadczą więc jedynie o swym własnym istnieniu, o ile można je jeszcze nazwać istnieniem. Czy się wreszcie obudzą, kiedy trzeba będzie faktycznie i możliwie szybko dać świadectwo? Czy nie należą przypadkiem do tej potężnej grupy osób, które składają świadectwo fałszywe? Przez nie trudniej jest dźwigać czas wyrwany ze swej wieczności i to one gromadzą niemal nieprzezwyciężalne trudności na drodze innych, którzy chcą być naprawdę świadkami. Czy ci fałszywi świadkowie, którzy stali się takimi na skutek zaniedbania, nie są już w rzeczy samej nieświadkami? Zapominają przecież o tym, że zgubiona perła ma nieocenioną wprost wartość dla wieczności. Niezłożenie żadnego świadectwa jest także swego rodzaju świadectwem. Nawet więcej, jest świadectwem przeciwko świadectwu.

Do tej wielkiej grupy, do której należy tak wielu ludzi przez tak długi okres swego życia, dochodzi jeszcze wielka liczba świadków niedostatecznych, tych, którzy są wprawdzie ludźmi dobrej woli, ale — jeśli można by tak powiedzieć — pozostają poniżej granicy świadectwa. Niewątpliwie, czas i wieczność są niewspółmierne, niewątpliwie także nikt poza Chrystusem nie da miarodajnego świadectwa wieczności; ale czy na drugim krańcu skrajności, na polu pozbawionego wszelkiej pomocy jęku i bełkotu, nierzadko niezdarne, bylejakie i nic nie znaczące świadectwo nie spełnia już wszelkich warunków wyroku, i czy nierzadko także ktoś zgoła przypadkowy i nic nie znaczący daje świadectwo, stając się w końcu — niejako z konieczności — świadkiem najważniejszym? A jak wiele świadectw wypełniają różnorodne gesty, i to nie z braku odpowiednich słów, których im nie dostaje, ale jedynie po to, by przez żywą gestykulację zagłuszyć poniekąd to milczenie, które tak bardzo im doskwiera⁶! Albowiem świadectwo jest w pierwszym rzędzie świadectwem o życiu.

Czy trzeba faktycznie iść za tym, co niezwykle, aby dać świadectwo? Czy trzeba rzeczywiście różnić się od wszystkich innych, rozdmuchiwać swój autorytet, chępić się swoim mieniem, swoim zmysłem przedsiębiorczości, sensacyjnością, swoją heroiczną walką lub swym trudnym położeniem? W rzeczy samej wszyscy ci ludzie, którzy się posługują tak barwnymi i mocnymi obrazami, mają nadzieję na to, że ich świadectwo wyjdzie jakby na przeciw sza-

⁵ Heraklit stwierdza, że dla czuwających ludzi rzeczy są uporządkowane według jednej miary, ważnej dla wszystkich; każdy śpiący natomiast dał się wprowadzić w swój własny świat.

⁶ „Trzeba by się bliżej zająć tą nieskończoną głupotą, którą Landsberg nazwał zmysłem tego, co nieistotne” — stwierdza J. Lacroix.

rzyźnie dnia powszedniego. Trzeba by im zatem przypomnieć powiedzenie S. Kierkegaarda, że mianowicie najbardziej niezwykle człowiek jest zarazem człowiekiem najbardziej banalnym. Albowiem także milczenie jest świadectwem.

Jeżeli jednak podkreśla się zbyt mocno banalność, to popada się w niebezpieczeństwo zbagatelizowania także urzędu, który wymaga świadectwa. Doborowi słów i samej wypowiedzi powinien bowiem odpowiadać ich autentyczny, wewnętrzny wymiar, przy tak delikatnym zaangażowaniu się, że zmierza ono do całkowitego niemal opanowania, typowego dla człowieka o zimnej krwi. Oznacza to zapomnienie, iż złożenie świadectwa jest aktem, a nie stanem, że leży ono bliżej przymusu niż pojednania i że utożsamia się bardziej z trudno osiągalną jednomyślnością aniżeli z ustępstwem lub przyznaniem się. Jedynie ludzie przepełnieni niepokojem mogą składać świadectwo, tylko ci, którzy się znajdują w napięciu między czasem i wiecznością, jedynie ci, którzy wiedzą, że los Boży może odwrócić każde spojrzenie pośród ludzi. Dać świadectwo — oto cnota mocnych i odważnych⁷, rozpalonych jakimś ogniem wewnętrznym, który podsyca jeszcze bardziej życie, kiedy się nim rozjaśnia swoje opanowane, a niekiedy także w pełni odprężone i rozładowane oblicze.

Jak ukazał E. Mounier, świadek jest polityczny, gdy skłania się do działania, profetyczny, gdy skłania się ku wizji. Ale na tych skrajnych biegunach, a także między nimi, świadectwo jest objawieniem tego, co nie mogłoby zaistnieć bez objawienia. Zespolone jest przeto ze wszystkimi bólami i lękami stworzenia.

Niewątpliwie także miarodajne z chrześcijańskiego punktu widzenia jest to, że Chrystus, który zna przedział między tym, co czasowe i co wieczne — który to przedział jest w ostatecznym rozrachunku jedynie przedziałem Objawienia — kończy swym własnym świadectwem nasze bezradne poszukiwania, doprowadzając je do ich ostatecznego wypełnienia. On wie, że ta ziemską przemijalność, w której toczą się nasze niepewne walki i zapadają niejasne wyroki, nas paraliżuje i skamienia. I dlatego konieczne było to całe Jego współcierpienie, aby nam ukazać drogę przez tę pustynię świadectwa.

4. Nieobecność i naturalizm w wieku XX

Kiedy sól straci swój smak, czym będziemy solić? Czy ta przybierająca wciąż na sile nieobecność wieczności, względnie pozeg-

⁷ Ale czy nie jest to tautologia?

nanie się z nią, nie dochodzi w jakiejś mierze do głosu w naturalizmie XX wieku?

Współczesne wrogie nastawienie do nadprzyrodzoności potwierdza Bergsonowe „prawo podwójnego nonsensu”: Ponieważ osiągnęliśmy już szczyt fali technicznej i skoro trzeba się liczyć, jak sobie tego życzył Bergson, z powrotem do mistyki, to tę ostatnią zapowiadałyby prawdopodobnie z konieczności te błędne znaki, jakie cechowały poprzedzający nas naturalizm.

W XX wieku naturalizm oznacza przede wszystkim Heglowe wyobcowanie transcendencji w immanencji i ukrycie tego kuglarstwa za całym biegiem historii. Oznacza on także ekonomię marksistowską, której tzw. akcenty prawdziwe ważne są jedynie na poniżej ludzkim poziomie, a która otwarcie przyznaje się już do tego, że jest niezdolna stworzyć nowego człowieka. Oznacza on równocześnie pozytywistyczne nastawienie do nauki, która ma wykazać stosowność zamierzonych działań, zasadność tego, co w zakresie rzeczy dających się obliczyć, jest poprawne i właściwe, ale już nie wchodzi w grę z chwilą, kiedy zwraca się uwagę na jakość. Również irracjonalizm Nietzsche'go, który wychodzi jedynie naprzeciw racjonalizmowi rozumu, aby wzmocnić racjonalizm sił życiowych. Naturalizm oznacza wreszcie, ale bynajmniej nie na samym końcu, współczesny triumf techniki, która jest dobrodziejstwem dopóty, dopóki człowiek potrafi ją kontrolować, która jednak degradowuje człowieka do rangi przedmiotu i doprowadza do strącenia go w rzeczywistość bezosobową: odbiera mu więc jego samego i obraca się przeciwko niemu. Czy zespolenie tych wszystkich sił nie wystarcza, aby w tym ostatnim kwartale naszego stulecia zablokować wszelkie świadectwo?

Istnieją oczywiście także godne uznania odkrycia. Freud odkrył nowe wymiary i głębie, ale trzeba się zapytać, czy archeologia świadomości jest faktycznie tożsama z wewnętrznym wymiarem czasu? Surrealizm odrzuca logikę rzeczy; czy udało mu się jednak osiągnąć coś więcej od co najwyżej poetyckiego protestu? Egzystencjalizm odkrywa na nowo to, co autentyczne; kiedy jednak przesunął akcent z prawidłowości i poprawności na spontaniczność, to czy tym samym nie zafałszował sensu wierności i nie podarował trwałej intensywności poczuciu danej chwili? Słusznie ubolewa G. Marcel nad utratą poczucia roli dziedzictwa kulturalnego, a więc nad tą specyficzną formą wierności na płaszczyźnie narodowej; zerwanie więzi między pokoleniami niszczy wszelką ciągłość. (Przy czym należałoby wyjaśnić, czy to zerwanie jest tylko przyczyną, czy też po prostu takim właśnie działaniem!). W ostatnim czasie strukturalizm starał się odkryć na nowo całości

i ciągłości, skoro jednak człowiek pożegnał się już w jakimś stopniu z sobą samym, ta strukturalistyczna logika porusza się w odpersonalizowanej naturze. Wszystkie te poczynania, które na skutek swych chybionych roszczeń same się zneutralizowały, prowadzą na nowo do wybitnie naturalistycznego ujęcia pojęcia *szczęścia*, które jest przy tym jeszcze całkowicie złudne.

Ogólnie można by powiedzieć, że obrabowany ze swojego wewnętrznego wymiaru czas dzięki swej logice, swemu przyspieszeniu, swoim determinizmom i przypadkowym wydarzeniom odnosi w końcu zwycięstwo nad takim wyobrażeniem wieczności, które w naszych oczach staje się coraz to bardziej anachroniczne i bezowocne. Ta zdrada wieczności musiała znaleźć także jakieś swoje odbicie w teologii, a to nie tylko dlatego, że pojawia się w niej niekiedy dosyć niejasny i niedookreślony ateizm, ale także z tego powodu, iż niektóre tendencje teologiczne głoszą „śmierć Boga” i „Chrystusa pozbawionego transcendencji”. Nie oznacza to oczywiście, że wzmiankowany naturalizm nie wbija swego klina również tym, którzy walczą o transcendencję wiary, skoro zwracają się oni, w sposób zgoła sprzeczny ze swoją postawą, przeciwko dalszemu zaangażowaniu i znaczeniu dawania świadectwa. Jeżeli bowiem nie przyjmuje się tego, iż nadprzyrodzoność opiera się na przyrodzoności, to poręcza się wprawdzie, i to bez wątpienia, wartość *zbawienia*, skoro jednak się pragnie, by natura możliwie jak najmniej opierała się na nadnaturze, naraża się znów *zbawienie* na niebezpieczeństwo.

Wniosek końcowy: Czy czas świadectwa nadszedł już na nowo?

Był czas, przed mniej więcej trzydziestu albo i pięćdziesięciu laty, w którym można było mówić na szeroką skalę o „świadcach duchowości”: Féguy, Claudel, Bernanos, Massignon, Mounier i inni. Czas ten nie jest aż tak bardzo odległy, a przecież zaistniał jakiś przedział oddzielający nas od niego, i to większy jeszcze od oddalenia, jakie istnieje pomiędzy dwoma zboczami jednej góry. Czy zniknął już bezpowrotnie cały ten gwiazdociąg tego pokroju pisarzy i czy można liczyć obecnie na takich świadków? Wobec tak ponurych cieni pojawiają się żywe reakcje niektórych przynajmniej przedstawicieli protestującej młodzieży, jak cierpkie owoce wczesnego poranka. Na drogach narkotyków, erotyki lub bezgranicznej solidarności, w poszukiwaniu jakiegoś dzikiego mistycyzmu dostrzec można te właśnie reakcje, które mimo wszystko można by uznać za zdrowe odruchy, albowiem występują one przeciwko takiemu tłamszeniu czasu, którego ostatecznym celem

jest wygoda. Bynajmniej ich nie aprobując, można jednak zauważyć, że chociaż jawią się one niekiedy tuż obok mrocznych uciekinierów i „zbiegów” w niektórych krajach, to przecież zdają się uwypuklać najniższe warstwy życia. Ich reakcje są niewątpliwie przesiąknięte niszczącym je naturalizmem, który same przecież zwalczają, nie umiając jednak wyzwolić się od niego. Kiedyś zaś im się udaje poskromić jego panowanie, pojawia się znów jakaś podstawa nadziei. Trzeba im zatem pomagać w lepszym ich zrozumieniu samych siebie i dlatego też powinny one same najpierw rozpoznać właściwie te swoje reakcje.

A my? Czy je uznajemy i rozpoznajemy? Być może, wyłonią się nasi świadkowie z całych szeregów tych młodych ludzi ubranych w skórzane kurtki z widniejącym na nich wizerunkiem Chrystusa, z pustymi sakiewkami i z typowym dla siebie głupim gadaniem. Ale ty, Izraelu, który zabijałeś proroków, czy potraktujesz ich jako świadków, skoro oni przypominają swym wyglądem Samsona, albo też Deborę, wojowniczą prorokinię, względnie Jeremiasza, tego tak straszliwie okropnego?

A przecież świadectwo o wieczności przechodzi z konieczności przez przemijalność czasu, szczególnie zaś przez pęknięcia w czasie. Czy świadkowie dzisiejsi będą dawać świadectwo wieczności również pośród Trzeciego Świata, czy będą je składać w obliczu zbrojeń i wobec uciekinierów, a także przeciwko rasizmowi, jak też na rzecz Kościoła, który się wyzwala ze swoich zniszczonych już prastarych szat, aby móc zespolić ze sobą, możliwie jak najlepiej, wszelkie tożsamości? Tacy świadkowie będą budzili jedynie echo innego głosu, który został już wypowiedziany, że mianowicie tylko doskonała bezinteresowność naprawdę się liczy.

Jeżeli nawet te nowe czasy są całkowicie bezradne, to powinniśmy się wsłuchiwać w to, co tak bardzo pulsuje w nowych pokoleniach, znajdując tam swój autentyczny wyraz. Bez przesadnego optymizmu możemy chyba powiedzieć, że czas świadków powrócił na nowo — chociaż jeszcze o tym tak do końca nie wiemy.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC